



Melodia niepokornego serca

MAŁGORZATA
NIEMTUR

FILIA

MAŁGORZATA
NIEMTUR

Melodia
niepokornego
serca

FILIA

*życie moje
powinno zatoczyć koło
zamknąć się jak dobrze skomponowana sonata*

Zbigniew Herbert, *Brewiarz IV*

PRELUDIUM

Berlin, 7 stycznia 1824 roku

Hałas za drzwiami to narasta, to przycicha, damskie głosy przeplatają się z męskimi. Kiedy przybyli na koncert goście przechodzą korytarzem, Maria rozpoznaje słowa po niemiecku, choć rzadko udaje się jej jakieś zrozumieć.

Dźwięki ją osaczają, właczają się do głowy i zagłuszają muzykę, którą próbuje wypełnić umysł przed występem. Serce gna w tempie *vivace*, a dłonie pocą się niemiłosiernie. Ma ochotę wytrzeć je w rozkloszowaną spódnicę białej sukni. Powstrzymuje jednak ten odruch i podchodzi do niewielkiego lustra w rzeźbionej ramie. Poprawia ciasno skręcone loki na skroniach i upewnia się, że żaden odstający kosmyk nie zaburza harmonii kunsztownej fryzury. Nie widać po niej zdenerwowania. Wręcz przeciwnie – emocje malują na jej policzkach delikatny rumieniec, a oczy zdają się większe i bardziej błyszczące.

Ta konstatacja ją uspokaja. Ma kontrolę nad tym, jak się prezentuje, więc pewnie z pozostałymi rzeczami będzie podobnie. Nie może dopuścić, żeby kolejny koncert poszedł

nie po jej myśli. Zbyt wiele od tego zależy. Jedno potknięcie można wybaczyć, dwa trudno już zapomnieć.

Podchodzi do stołowego fortepianu pod oknem, gdzie jeszcze przed chwilą rozgrzewała palce na klawiaturze. Nad Unter den Linden zawisły ciężkie szare chmury i mimo że dochodzi południe, światło sączy się niechętnie do pomieszczenia. Maria otwiera nuty *Rondo alla polacca* Fielda i po raz ostatni śledzi wzrokiem przebieg tematów muzycznych. Lekki utwór, z odpowiednią liczbą wirtuozowskich figuracji i wdzięcznych melodii, taki, za jakimi przepada publiczność. Potrafi zagrać go idealnie. Nie potrzeba więcej, żeby zatrzeć niekorzystne wrażenie.

Woli nie wracać do ostatniego koncertu w grudniu, ale wspomnienia uparcie cisną się jej na myśl. Wiele czynników złożyło się na niepowodzenie. Po przyjeździe do Berlina męczyła ją lekka febra, przez co nie mogła poświęcić wystarczająco dużo czasu na ćwiczenie. Fortepian, na którym przyszło jej grać, był dla niej zupełnie nowy, a na domiar złego pojawienie się rodziny królewskiej sprawiło, że publiczność zupełnie przestała zwracać uwagę na artystkę, podniecona obecnością takich znakomitości. Salę niemal przez cały czas wypełniał szmer rozmów, a niektórzy słuchacze wstawali z miejsc i podchodzili do przodu, żeby obejrzyć następcę tronu i jego świeżo poślubioną małżonkę – młodziutką, śliczną jak porcelanowa laleczka Elżbietę Ludwikę. Maria starała się to ignorować, ale przychodziło jej to z największym trudem.

Przeżykała łyzy, kiedy kilka dni po tamtym feralnym wieczorze czytała recenzję w „Berliner Nachrichten”. Pośród pochwał znalazły się całkiem uzasadnione zarzuty. Chciałaby móc je odeprzeć, ale nie sposób zaprzeczyć, że w pomie-

szaniu zdarzyło się jej kilka razy nie trafić w odpowiedni klawisz, a zbyt szybkie tempo, które narzuciła sobie w ostatnim utworze, wcale nie pomogło wykonaniu.

Maria przerzuca kartki, a pięciolinie wirują jej przed oczami. Mało co w życiu wywołuje w niej lęk, ale w tym momencie, na kwadrans przed występem, zawsze ma ochotę chwycić nuty pod pachę i wymknąć się tylnym wyjściem. Gdyby pozbyć się tremy, wszystko byłoby łatwiejsze.

Powiew zimnego powietrza sprawia, że przechodzi ją dreszcz. Czuć przeciąg, pewnie zostawiła uchylone drzwi. Podchodzi, żeby je zamknąć, ale zatrzymuje się, kiedy słyszy swoje nazwisko. Kobiety, które najwyraźniej przystanąły na korytarzu nieopodal, rozmawiają po francusku, ale „Szymanowska” wymawiają z niemiecka, z twardym „sz” i „w” brzmiącym niemal jak „f”.

– Podobno gościła w Weimarze u samego Goethego – mówi jedna.

– Nasz książę poetów nigdy nie mógł się oprzeć ładnej buzi – odzywa się druga, brzmiąca na starszą. – To Rosjanka?

– Chyba Polka – odpowiada pierwsza.

– A ja słyszałam – do rozmowy włącza się trzeci głos – że pochodzi z rodziny przechrzczonych Żydów¹.

– Zatem nic dziwnego, że tak dobrze dogaduje się z Mendelsohnami.

Maria nie czeka na dalsze komentarze. Kręci głową z cichym prychnięciem i zamyka drzwi.

¹ Rodzina Marii Szymanowskiej miała korzenie żydowskie. Jej pradziadek, Elisza Szor z Rohatyna, i jego synowie należeli do antytałmudycznej sekty frankistów. W 1759 roku kilkudziesięciu członków sekty przyjęło chrzest we Lwowie – wśród nich dziadek Marii, Szlomo Szor, jego bracia oraz dzieci (w tym ojciec artystki). Przybrali nazwisko Wołowskich i kilka lat później osiedli w Warszawie.

Nie usłyszała nic nowego. Te określenia są motywem przewodnim jej życia. Zamyka oczy i próbuje uspokoić oddech. Powinna się już przyzwycząić, że wiele osób traktuje ją jak osobliwość, coś na kształt uczonej małpy, która rachuje i chodzi po linie ku ucieście tłumu. Tym bardziej ma ochotę udowodnić tym trzem nieznanym, że nie ma znaczenia, jakie pochodzenie jej przypiszą. Jeśli spodziewają się jedynie dziwowiska ze Wschodu, będą bardzo zaskoczone.

Wciąż stoi z ręką na klamce i zdecydowane pukanie sprawia, że niemal podskakuje. Otwiera drzwi. Herr Zelter, mężczyzna słusznego wzrostu i postury, promienieje żywotnością i energią pomimo ponad sześćdziesiątki na karku. To on, z polecenia Goethego, pomógł im zorganizować dotychczasowe koncerty i nawiązać cenne znajomości w kręgach muzycznych Berlina.

Teraz zaciera ręce i patrzy na nią z uśmiechem. Zaciska przy tym wargi w taki sposób, że wygląda, jakby jednocześnie za coś przeproszał. Maria wie, co go sprowadza, i w tym momencie spływa na nią spokój.

– Sala dopisała – mówi herr Zelter. – Wszyscy się niecierpliwią. Jest pani gotowa?

Kiwa głową, wraca do fortepianu po nuty i wkłada rękawiczki, po czym oboje wychodzą na korytarz. Powietrze wypełnia woń wilgoci i ledwo wyczuwalna nuta nieokreślonych damskich perfum. W oddali słychać pospieszne kroki i śmiech spóźnionych słuchaczy.

Herr Zelter prowadzi ją do bocznego wejścia. W miarę jak się zbliżają, pomruk głosów ponad pięciu setek widzów przybiera na sile. Zanim przekroczą próg, mężczyzna podaje Marii ramię. Kobieta przez ułamek sekundy ma ochotę zawrócić, ale jest za późno – już wkraczają do sali, więc bierze

tylko głęboki oddech, spuszcza wzrok i układa wargi w subtelny, ledwo zauważalny uśmiech.

Osoby z pierwszych rzędów milkną na ich widok, a te z dalszych idą za ich przykładem, tak jakby wokół Marii i jej towarzysza rozchodziły się kręgi ciszy. Wreszcie szepty i chichoty ustają zupełnie. Podobnie jak poprzednio, na sali znajduje się Fryderyk Wilhelm III w towarzystwie następcy tronu i jego żony, a także księżniczka Ludwika i kilkoro innych członków rodziny królewskiej. Herr Zelter prowadzi ku nim Marię, a ona opada w głębokim dygnięciu przed mornarszym majestatem. Podnosi na moment wzrok i dostrzega uprzejme zainteresowanie króla i wyraźne znudzenie jego syna o zmęczonej, nalanej twarzy.

– Czekam z niecierpliwością na muzyczne przeżycia, które potrafi pani zapewnić jak nikt inny – odzywa się Elżbieta Ludwika.

– Będzie dla mnie zaszczytem dostarczyć Waszym Wysockościom odrobinę rozrywki.

Król wykonuje charakterystyczny gest, który, zależnie od kontekstu, może wyrażać wszystko. Maria ma nadzieję, że tym razem oznacza „proszę zaczynać z naszym królewskim błogosławieństwem”. Wycofuje się ku herr Zelterowi, który obdarza ją ostatnim przeproszającym uśmiechem, podaje jej rękę i prowadzi w stronę instrumentu. Maria po raz pierwszy spogląda na publiczność. W drugim rzędzie, obok frau Zelter, siedzi jej rodzeństwo: Kazia z zaplecionymi jak do modlitwy rękami, Karol, jak zwykle w zbyt ciasno zawiązanym halsztuku, i przybyły wczoraj z Warszawy Staś. Nieco dalej widzi kolejne znajome twarze – państwo Mendelssohnowie z dwójką starszych dzieci, Fanny i Felixem.

Herr Zelter unosi jej dłoń i zapowiada donośnie:

– Madame Szymanowska!

Jego głos niesie się po sali, a głowy widzów falują, jakby poruszone wiatrem. Tłoczący się z tyłu słuchacze, dla których zabrakło miejsc siedzących, przepychają się i stają na palcach. Każdy chce zobaczyć fortepianistkę zza wschodniej granicy. Rozlegają się oklaski. Maria kłania się i przygląda sali. Ciepłe światło zapalonych obok fortepianu i przy stanowiskach orkiestry świec miesza się z półmrokiem styczniowego dnia. Twarze słuchaczy zdają się przez to pozbawione kolorów, szare jak świat za oknem. W pomieszczeniu panuje duchota i damy wachlują się energicznie, co sprawia, że widownia wygląda, jakby obsiadły ją motyle.

To wszystko, co Maria zauważa. Oklaski milkną, herr Zelter ściska nieznacznie jej dłoń i odchodzi na bok. Zostają tylko ona, instrument i publiczność. Kiwa jeszcze głową dyrygentowi, przewodzącemu orkiestrze w ostatniej części koncertu, po czym siada przy fortepianie. Drobne przygotowania – zdjęcie rękawiczek, rozłożenie nut na pulpicie – wprowadzają ją w stan skupienia, który tak lubi podczas gry.

Miasta, sale i publiczność się zmieniają, ale rząd czarnych i białych klawiszy za każdym razem wygląda tak samo. Jest jak dom, do którego wraca i w którym potrafi poruszać się po omacku.

Poprawia się na stołeczku i kładzie dłonie na klawiaturze, po czym zaczyna grać.

Część I – *Allegro con spirito*

ROZDZIAŁ 1

Warszawa, wrzesień 1795 roku

Marynię za każdym razem zdumiewa, jak sprawnie Julia potrafi poruszać się po ich domu, pełnym zakamarków, wnęk, schodków i ślepych korytarzy. Wpatruje się w plecy siostry, która stawia każdy krok z wyważoną pewnością. Julia sunie dłonią po ścianie i Marynia naśladuje ten gest. Pod jej palcami przesuwiają się chropowate deski, ziarnisty, chłodny tynk, a wreszcie jedwabście gładka boazeria w paradnym korytarzu. Badanie faktur tak ją pochłania, że niemal wpada na siostrę, gdy ta zatrzymuje się przed drzwiami do salonu. Julia przekręca głowę i nachyla ją lekko. Jej oczy zdają się ciemniejsze w półmroku korytarza.

– Nikogo nie ma – mówi po chwili.

Marynia chce przytaknąć, ale szybko się orientuje, że nie było to pytanie. Bez słowa wślizguje się za siostrą do pomieszczenia i zamyka drzwi.

Promienie słońca wpadają do salonu państwa Wołowskich i oświetlają tapetę w amarantowo-brązowe pasy, przez co pomieszczenie staje się jaśniejsze i weselsze. Kinkiety lśnią niczym złoto, choć Marynia wie, że to tylko cyna. Wyściełane krzesła o prostych, niewygodnych oparciach stoją obok kominka i wokół stolika do robotek pod oknem, a podłogę pokrywają dywaniki różnych rozmiarów i wzorów.

Dziewczynki przez moment się wahają, zanim wejdą dalej. Towarzyszące im za każdym razem wrażenie, że są tu intruzami, ma w sobie coś onieśmielającego. Co innego wieczorem lub w niedzielne popołudnie, kiedy salon wypełnia się domownikami, gośćmi i krewnymi.

Julia pierwsza przestaje się ociągać. Idzie z wyciągniętą przed siebie dłonią, na wypadek gdyby jakiś sprzęt stał w innym miejscu niż zwykle. Marynia rusza za nią.

Cel ich wędrówki czeka w przeciwległym kącie. Jasna politura lśni w świetle jesiennego przedpołudnia. Smukłe nóżki sprawiają, że instrument zdaje się pochodzić z zupełnie innego świata niż toporne krzesła i kanciaste stoliczki. Julia pewnym gestem sięga do pokrywy i ją unosi.

Marynia jak zwykle wstrzymuje na moment oddech. Wewnętrzzną stronę kłapy zdobi malowidło, w które mogłaby wpatrywać się bez końca. Brzegi łagodnie wijącej się rzeki pokrywa świeża trawa, po niebie płyną delikatne jak puch dmuchawca obłoczki, a w cieniu drzew odpoczywają małe ludzkie postacie odziane w kolorowe stroje. Trzymają się za ręce, zbierają kwiaty, głaszczą bielutkie owieczki lub moczą stopy w wodzie. Madame Renard określa tę scenkę

mianem *bucolique* i Marynia wymawia bezgłośnie to słowo, lekkie i pełne wdzięku.

Widoczek zachwyca ją za każdym razem, ale nie on jest najważniejszy. To ułożone naprzemiennie czarne i białe klawisze wabią ją i zmuszają, żeby usiadła przy klawikordzie. Robi to bez zastanowienia i spogląda pytająco na siostrę, która stoi obok i uśmiecha się lekko.

– Co mam grać?

– Najpierw gamę durową od „f” i pasaże. Potem ten sam utwór, który ćwiczyliśmy ostatnio.

Julia zajmuje miejsce na ławie pod ścianą, a Marynia kładzie niepewnie dłonie na klawiaturze. Odkąd dwa lata temu, zachęcona przez starszego brata, bawiła się w jak najgłośniejsze wydobywanie dźwięków z instrumentu i doprowadziła do tego, że pękły w nim dwie struny, ma kategorię zakaz zbliżania się do cennego sprzętu. Gdyby nie Julia, która nie przepada za nauką muzyki, pewnie do tej pory nie umiałyby zagrać najprostszego utworu jednym palcem. Pół roku temu ubłagała starszą siostrę, żeby przekazała jej chociaż odrobinę muzycznej wiedzy. Skończyło się na tym, że niemal codziennie zastępuje ją przy klawikordzie podczas wyznaczonego czasu ćwiczeń. Do tej pory nikt nie odkrył tego małego oszustwa i tylko madame Renard załamuje ręce, że najstarsza panna Wołowska robi marne postępy, choć przeznaczona tak dużo czasu na ćwiczenie.

Dziewczynka się waha, zanim uderzy pierwszy klawisz. Dźwięk, tak odmienny od wypełniających dom odgłosów, z początku zdaje się nie na miejscu, ale szybko wplata się w całość. Pokrzykiwania rodzeństwa na piętrze, hałas przejeżdżających furmanek, dobiegający aż tutaj tubalny głos kucharki i szereg delikatnych, brzękliwych nut tworzą dziwną,

ale miłą dla ucha harmonię. Za każdym razem, kiedy jej palec trafia w zły klawisz, Marynia się krzywi. Wygrywanie gamy i pasaży jedną ręką idzie jej już całkiem dobrze, ale kiedy dołącza drugą, musi przyjąć wolniejsze tempo. Niecierpliwi się, chce grać już szybko, tak jak madame Renard, ale jej palce płączą się i potykają jak nogi nowo narodzonego cielaka.

– Musisz grać powoli – odzywa się Julia, jakby wyczuwała jej narastającą frustrację. – Najpierw spokojnie, aż będzie ci szło płynnie. Dopiero potem szybciej.

Marynia wzdycha. Zaciska zęby i próbuje jeszcze raz. Potem ponownie i znowu, aż wreszcie dłonie łapią wspólny rytm. Wciąż jest to dalekie od biegłości ich guwernantki, ale sam postęp sprawia dziewczynce radość.

– Czy już wystarczy? Mogę przejść do ronda?

Choć jest tak samo biegła jak Julia, a może nawet bardziej, wciąż uznaje jej muzyczny autorytet.

– Możesz. Pamiętaj, jak zacząć?

Siostra wstaje i podchodzi do instrumentu. Palce Maryni same odnajdują odpowiednie klawisze, ale robi Julii miejsce na ławie i pozwala jej zagrać początek utworu.

– Dalej nie pamiętam, ale ty sobie poradzisz.

Marynia, już zupełnie pozbywszy się niepewności, zaczyna utwór. Tym razem jej ręce współpracują bez zarzutu. Lewa wygrywa co prawda pojedyncze nuty, ale i tak powstała w ten sposób harmonia ma w sobie coś nieskończenie pociągającego. Potknięcie wybija ją z rytmu. Przez chwilę nie potrafi się odnaleźć, ale wreszcie rusza dalej. Gdy dochodzi do końca, podnosi wzrok. Julia oparła głowę o ścianę i zzuła bućki, a nogi w przybrudzonych pończochach podwinęła pod siebie. Skubie końcówkę czarnego warkocza, a na ustach ma uśmiech.

– Lubię słuchać muzyki – mówi. – Kiedy tylko poznam z madame Renard kolejny utwór, od razu cię go nauczę.

Radość wywołana grą staje się dwa razy większa. Serce w piersi Maryni bije szybciej, a czubki palców lekko mrowią, jakby wypełniała je nieznana energia. Zaczyna rondo ponownie, z jeszcze większą swobodą i lekkością. Zdarzają się momenty, kiedy melodia płynie niemal sama, a ona poddaje się jej sile.

– Nareszcie! Znakomicie. A myślałam już, że nigdy się nie nauczysz.

Muzyka cichnie jak urwana nić, a Marynia zrywa się z siedzenia. Ława odjeżdża do tyłu, wydając nieprzyjemny dla ucha zgrzyt.

Madame Renard podchodzi do klawikordu. Słaby wzrok sprawia, że dopiero wtedy rozpoznaje małą muzyczkę. Brwi zbiegają się jej nad nosem, a broda wysuwa do przodu, kiedy zaciska usta. Marynia spogląda na siostrę. Julia spuściła stopy na podłogę i siedzi wyprostowana jak struna. Na twarzy ma niepewny uśmiech. Gdyby mogła zobaczyć minę guwernantki, ją również opuściłaby pewność siebie.

– Co to ma znaczyć?

Spódnica brązowej sukni szeleści, kiedy kobieta jednym ruchem znajduje się u boku Maryni, ujmując ją za łokieć i wyciąga na środek salonu. Julia wstaje i robi niepewnie kilka kroków. Madame Renard zbliża się i do niej, chwytając ją za ramię, po czym ustawia obok młodszej siostry. Maryni robi się gorąco, a świecące prosto w twarz słońce sprawia, że oczy jej łzawią. Tak naprawdę chce jej się płakać, ale nie przyznałaby się do tego przed nikim.

– Julio, wyjaśnij mi natychmiast, dlaczego próżnujesz w czasie przeznaczonym na ćwiczenie? I dlaczego przy

instrumencie była twoja siostra, która ma się do niego nie zbliżać?

Madame Renard mówi znakomicie po polsku, ale kiedy ogarnia ją poruszenie, w słowach słyhać lekki akcent. Marynia ośmiela się spojrzeć na kobietę. Zielone oczy zdają się przewiercać ją na wylot. Dziewczynka nie potrafi ocenić, czy więcej w nich gniewu, czy zaskoczenia. Nie może jednak pozwolić, żeby siostra cierpiała za jej przewinę. Ona tylko pomogła zrealizować plan.

– To ja... – mamrocze w przypływie odwagi. – To ja, madame, namówiłam Julcię. Proszę jej nie karcić.

– Nie karcić! – Kobieta kładzie dłonie na biodrach. – A od kiedy to, moja panno, zajmujesz się wychowaniem dzieci?

– To proszę jej przynajmniej nie karcić bardziej ode mnie. – Dziewczynka podnosi głowę. Patrzy w nieprzeniknione oblicze guwernantki i składa dłonie na wysokości brody. – Bardzo proszę.

Kącik ust madame Renard drga lekko, ale kobieta potrząsa głową, jakby chciała coś z niej zrzucić.

– Bardzo przepraszam – odzywa się cicho Julia. – Nie powinnam była kłamać.

– Dobrze, że dostrzegasz swoją przewinę. Spodziewałabym się po tobie większej powagi i poczucia odpowiedzialności za postępowanie młodszego rodzeństwa. – Guwernantka przerywa i przypatruje się Maryni z uwagą. – Rozmówię się z panią Wołowską, jaką karę wam wymierzyć. Na razie ty – wskazuje na młodszą z dziewcząt – marsz do waszego pokoju i nie ruszaj się stamtąd. A ty pójdziesz ze mną.

Chwyta Julię za rękę i kierują się do drzwi. Maryni nie pozostaje nic innego, jak podążyć za nimi. Przyznanie się do winy sprawiło, że na moment poczuła się lepiej, ale z każdym

krokiem, który zbliża ją do sypialni, czuje coraz dobitniej wagę swojego postępu. Teraz na pewno nie pozwolą jej już nawet dotknąć klawikordu. Próbuje być dzielna i początkowo nawet się jej to udaje, ale zanim dociera na półpiętro, pierwsze łzy płyną jej po twarzy. Gdy otwiera drzwi pokoju, który dzieli z trzema siostrami, jej twarz jest już cała mokra, a z piersi wydobywa się szloch. Podbiega do łóżka i rzuca się na nie w ubraniu. Straszna myśl przemyka jej przez głowę – co będzie, jeśli zabronią jej nawet słuchać, jak gra madame Renard? Ta wizja napętnia ją takim bólem, że ma ochotę krzyczeć. Wciska twarz w poduszkę, która kilka minut potem przesiąka łzami.

* * *

Barbara Wołowska wspina się z trudem po schodach. Jedną dłonią chwyta się poręczy, a drugą podtrzymuje brzuch, który jest już tak wielki, że trudno jej normalnie funkcjonować. Spodziewa się rozwiązania lada dzień. Cieszy ją myśl o kolejnym dziecku, ale świadomość, że przy jego narodzinach może osierocić pozostałych sześcioro, przejmuje ją trwogą. Odrywa dłoń od brzucha i maca tkaninę sukni na piersi. Talizman mający chronić matkę i dziecko, podarowany w tajemnicy przez kuzynkę, która z kolei dostała go od jakiejś wiedzącej babki, jest na swoim miejscu. Dotyk chropowatego drewna nieco ją uspokaja. Podobnie jak obrazki z wizerunkiem Świętej Anny, patronki rodzących, które rozkłada przez ostatnie tygodnie po całym domu. Czuje dziwną więź z tą świętą, niby chrześcijańską, ale nie do końca.

Codzienne obowiązki ciążyą jej coraz bardziej. Dopiero co uporała się z rozdysponowaniem posiłków na kolejny dzień

GENIALNA WIRTUOZKA? OBDARZONA UROKIEM ARTYSTKA-
-AMATORKA STARANNIE BUDUJĄCA SWÓJ WIZERUNEK?
CZY MOŻE PO PROSTU KOBIETA, KTÓRA CHCIAŁA OD ŻYCIA
WIĘCEJ, NIŻ MOGŁA ODNALEŹĆ W ROLI NARZUCONEJ
PRZEZ XIX-WIECZNE REGUŁY?



Marynia, córka warszawskiego piwowara, zdaje się nie wyróżniać niczym szczególnym – aż do dnia, gdy jej nauczycielka odkrywa jej muzyczny talent i robi wszystko, żeby go rozwinąć. Choć nikt jeszcze o tym nie wie, ten moment wyznacza kierunek całemu życiu dziewczynki.

Historyczne zawieruchy pierwszych lat XIX wieku miotają Europą, losy Polski są wciąż niepewne, ale dziewczynie nie przeszkadza to cieszyć się młodością i marzyć o czymś więcej.

Szybko jednak się przekonuje, że niezamężna kobieta ma ograniczone możliwości realizowania swoich zamierzeń.

Marzenia schodzą na dalszy plan, zagubione w codziennych zmaganiach, jednak muzyka wciąż zajmuje wyjątkowe miejsce w jej życiu. To właśnie ona stanie się ostatecznie dla Marii kluczem do niezależności i centrum, wokół którego zbuduje swój własny świat.



FILIA

cena 52,90 zł

wydawnictwofilia.pl



Klub książki

ONA
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

ISBN 978-83-8402-153-8



9 788384 021538